

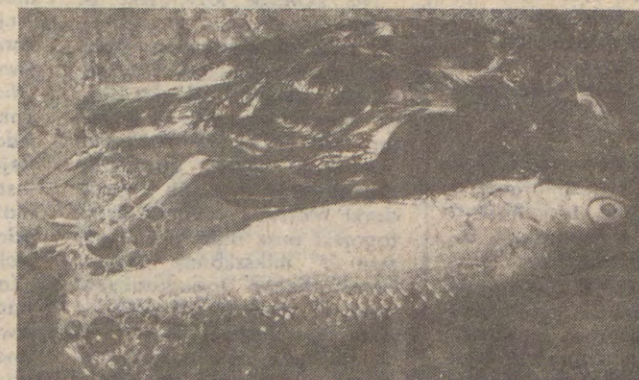
ZADRA



ROMANS z Jolą

F-28

Str. 6-8
ANNA KRAJEWSKA
„TRZYNASTY ALARM”



„W rzeczywistości, jak podali hydrobiolodzy, aż 95 procent polskich jezior, a konkretnie 650 akwenów, to już dziś zbiorniki zdegradowane i zeutrofizowane. Na przykład, zagrożony zanieczyszczeniami jest obecnie nawet jedyny zbiornik wody pitnej mieszkańców Szczecina, to znaczy jezioro Miedwie. A jeszcze gorzej przedstawia się aktualnie sytuacja jezior w głębi kraju. Przeprowadzono badania stanu czystości 139 jezior położonych na łożysku i okazało się, że w pierwszej klasie czystości znajdują się zaledwie... dwa spośród nich, to znaczy 1,5 procent wszystkich wziętych pod uwagę.”

Katastrofa ekologiczna coraz bliżej?

Str. 10-13
RYSZARDA SOCHA „ZADRY”



„W pamięci otwiera się zapomniana szuflada — 21 sierpnia 1980 roku — plenum Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej. Dopiero teraz kojarzę „mojego” malarza z tamtym Leśniakiem, którego akces został odrzucony. Taśma przesuwająca się i mam wrażenie, że Ireneusz Leśniak raz jeszcze stoi przed strajkowym gremium, najpierw klaszczącym jemu, potem zaś, z równą siłą, jego oskarżycielom. Wysłuchuje zarzutów Anny Walentynowicz, a pozostałe ataki przyjmuje hardo, z zaciśniętymi szczękami.”

Reportaż o stoczniowcu i artyście malarzu.

Str. 36-37
DOROTA KOBIEROWSKA „UMIEĆ ZNALEŹĆ DROGĘ”

„Strach. Musiała go przemóc. Podczas pierwszych wspinaczek, jeszcze na kursie, bała się tak bardzo, że niemal codziennie żegnała się z życiem. Teraz też nie jest tak, że nie ma pietra. Strach, to stały towarzysz alpinistów.”

Kobieta na linie.

WKRÓTCE

- Reportaż o pierwszej damie wśród żeglarzy — KRYSYNYE CHOJNOWSKIEJ-LISKIEWICZ
- Kazimierz Trocha — PIEKARZ z dziada pradziada
- Vademecum oczekującego na PASZPORT ● Rejs do PORTU MARZEŃ

Str. 9

M. Borkowski „Nie jesteśmy kłusownikami” — polska gospodarka morska w oczach Brytyjczyka.

Str. 14

J. Holden „Romans z Jolą” — cierpienia inwestora.

Str. 16

G. Murawska „Ostatnie dni” — katastrofa ms. „Sopot” na wokandzie Izby Morskiej.

Str. 18

S. Ossowski „Łańcuch” — fotoreportaż.

Str. 20

K. Myjkowski „Z przewagą morza” — wywiad z redaktorem naczelnym wydawnictwa „Glob”, Zbigniewem Kosiorowskim.

Str. 26

L. Niekraś „Odległość paru lat...”

Str. 30

J. Ringer „Sympatia do ryb” — korespondencja z NRD.

Str. 32

J. Gucki „Kurs na plażę”.

Str. 34

Z. Kosycarz „Gdańsk w Warnie” — fotoreportaż.

Str. 38

K. Antoń „Zimne żony”.

Str. 40

J. Sieński „Siedow” — z cyklu „Wielkie żaglowce świata”.

Ponadto:

Stale felietony, po naszych publikacjach, ciekawostki z mórz i oceanów, Magazyn „W”.

Na okładce: Zdjęcie Adama Krajewskiego z Gdyńskiej Wystawy Chryzantem i Kwiatów Jesiennych.

Poster: Freddie Mercury.

Oddano do druku 14 października 1986 r.

JAK NAS WIDZA

— Duża część światowej floty poszła również na złom.
— To prawda. Z pewnością sytuacja światowa poprawia się, ale wiele statków wciąż jeszcze pozostaje bez zatrudnienia.

— Czy sądzi pan, że rynek wschodnioeuropejski jest obiecujący?

— O, z pewnością! Każdego roku zawieraliśmy z Polską umowy na około 20 milionów dolarów — i mamy nadzieję czynić to nadal.

— Ale kryzys istnieje także w polskich stocznicach.

— Oczywiście — i stąd myślę, że w tym roku nie uda nam się utrzymać takich obrotów, jak w latach poprzednich. Często rozglądamy się za nowymi rynkami, ale znacznie częściej handlujemy ze starymi przyjaciółmi. Nie uważamy, że skoro wy tutaj macie pewne problemy, to powinniśmy pójść sobie, by powrócić znów, gdy one przemiją.

— Nie sądzi pan, że głównym z tych problemów jest brak twardych walut ze strony Polski?

— To jest problem — i stąd musimy poszukać sposobu, jak go przezwyciężyć. Z pewnością nie będzie to łatwe, ale wiem, że już niebawem będziemy szukać dróg celem ominięcia tej przeszkody — może będą to jakieś ustalenia kredytowe, czy też produkcyjne.

— Ma pan na myśli joint ventures — wspólne przedsięwzięcia?

— Tak, ale z pewnością zajmie to wiele czasu. Trzeba miesięcy na negocjacje, nie wystarczy powiedzieć: tak — i pójść głową do przodu. Wiele z pewnością będzie zależało od sytuacji politycznej.

— Słyszał pan o nowym polskim prawie, umożliwiającym tworzenie spółek z udziałem obcego kapitału?

— Tak. Wiem również, że niektóre firmy obecne na „Baltexpo” badają właśnie, czy tego rodzaju przedsięwzięcia będą opłacalne. Nie zawsze tak bowiem jest — mieliśmy w tym względzie gorzkie doświadczenia; okazywało się, że nie ma wystarczającego zapotrzebowania na wspólnie wytwarzane produkty. Musimy być bardzo ostrożni.

Znamy i rozumiemy tutejsze

problemy — i szukamy odpowiednich rozwiązań. Uważam, że udzielanie kredytu nie zawsze jest najlepszą z dróg. Świadczą o tym przykłady wielu zadłużonych państw np. z Południowej Ameryki. Sam kredyt może być rzeczą złą — zwłaszcza na długą metę. Musi on być zaplanowany bardzo starannie.

Polska otrzymała z Anglii pożyczkę na 15 milionów funtów szterlingów. To mało? Nie dla wszystkich. To jest całkiem sporo pieniędzy. Pożyczka jest nisko oprocentowana i polski rząd zdecydował na co ją przeznaczyć. Możemy mieć nadzieję, że część zostanie przeznaczona na potrzeby stoczni. W skali całej narodowej ekonomii jest to niewiele. Gdyby to było trzysta piętnaście milionów...

Polska jest krajem, który może znakomicie współpracować zarówno ze Wschodem, jak i Zachodem. Nie ma takich wiele.

— Przeszkody w rozwoju handlu zdają się być bardziej ekonomiczne niż politycznej natury.

— To prawda. Stąd też nie przyjechaliśmy tu jak kłusownicy, aby obłowić się na polskiej gospodarce. Byłoby głupio sądzić, że przybyliśmy tu tylko sprzedawać, sprzedawać i sprzedawać — aby pozabawić Polskę twardej waluty. To są interesy dobre na pięć minut. Nie jesteśmy zainteresowani w pięciominutowych przedsięwzięciach, lecz pięcioletnich, przynajmniej. Przyjechaliśmy tu z przekonaniem, że jeśli wasza gospodarka będzie się rozwijać — to i nasza na tym skorzysta.

Wielu z przybyłych tu dostawców i producentów zjechało do Polski z myślą o sprzedaży swych towarów i zawieraniu kontraktów. Nasze podejście jest odmienne: zamierzamy bardziej szukać dróg pomocy dla gospodarki tego kraju. Jeśli pomagamy gospodarce tu — pomagamy i tam.

Poza tym Polska jest krajem przyjaznym Anglii — i to od wielu, wielu lat. Nie chcemy oglądać naszych przyjaciół w biedzie. Chcemy, by rośli w siłę. I to jest bardzo ważne: nie przybyliśmy tu, by zabierać wasze dolary. Nie szukamy tu wyłącznie eksportowych kontraktów.

Rozmawiał:
Maciej Borkowski

POSTAWY



RYSZARDA SOCHA



Trudno o bardziej poniżający rytuał niż wywiezienie na taczce. Aczkolwiek użycie tego rekwizytu zdaje się wielce dwuznaczne. Podobnie jak uderzenie w twarz — słuszne czy niesłuszne — wystawia świadectwo zbiorowości sięgającej po tę karę, a nie tylko temu, kogo nią piętnuje. Nie najlepsze świadectwo.

Ale wtedy nikt nie przywlokł taczki. Zaproponowano „honorowe” wyjście... pod ochroną za bramę strajkującej stoczni. Bezpiecznie. Nawet bez akompaniamentu gwizdów. Byłaby to manifestacja wysokiego morale? A może przejaw wahania, czy wina jest pewna i sąd sprawiedliwy?

Obrazy zawieszone na linie między maszynami żywymi barwami rozświetlają szarość fabrycznego wnętrza. Nie opodal rozdyskutowane grupy oczekują na rozpoczęcie imprezy. Pojedyncze osoby w roboczych kombinezonach niepostrzeżenie opuszczają halę. Koniec zmiany. Spieszą do domów, ustępując miejsca tym z biura, z innych wydziałów, zakładowego koła plastyków amatorów. Sami napatrzyli się na malowidła w trakcie przygotowań, więc uroczyste otwarcie wystawy mogą sobie darować. Dwaj kowale — Krukurka i Paciek pozostają z konieczności. Ich dzień pracy potrwa do wieczora albo nawet dłużej. Muszą wykonać pilne zlecenie — kilkadziesiąt stalowych detali. Gdy się wszyscy wyniosą, oni przystąpią do dzieła. Zapalą piec, puszcza w ruch potężne młoty, których huk tak trudno przekrzyczeć.

Inżynier Tomasz Kacperski, kierownik kuźni, rozgląda się niespokojnie. Rad by mieć już za sobą całą tę część oficjalną — mowy, przekazania, podziękowania — a przede wszystkim wyzbyć się okolicznościowego kryształu i wiązanki goździków, przekładanej z ręki do ręki.

Nareszcie. Przedstawiciel dyrekcji otwiera wernisaz malarstwa Ireneusza Leśniaka. Malarz, brodaty 40-latek, przyjmuje życzenia, wazon i kwiaty. Zgromadzeni goście

ta odcinają się bielą litery hasła: „Wszechstronny rozwój jednostki ludzkiej, jej uzdolnień i zainteresowań celem polityki społecznej zakładu pracy”. „Jednostka ludzka” to właśnie on, Ireneusz Leśniak, obecnie malarz profesjonalista, wyposażony w stosowne uprawnienia przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, a jeszcze niedawno, bo zaledwie trzy lata temu, pracownik kuźni na S-2, członek stocznikowego koła plastyków amatorów.

— Porządny chłop — twierdzi Krukurka — pracę naszą uszanował, a i rękę zawsze podał, nawet jeśli człowiek od roboty ubrudzony...

Aż dziw, że Ireneusz Leśniak wykierował się w końcu na artystę. Mimo rozmaitych przeciwności losu. A może właśnie dzięki nim?

Kiedy miał 12 lat, przeżył najpiękniejszy okres swego dzieciństwa. Rodzice opuścili Łódź, przenosząc się na ziemie odzyskane. Zamieszkali w leśniczówce, w zupełnej głuszy. Do najbliższej wioski szło się 5 kilometrów. Żyli bez elektryczności, bez kontaktu z sąsiadami, za to otoczeni wspaniałością przyrody. O świcie, w kartoflach, można było dojrzeć buszujące dziki, a zające zaglądały do przydomowego ogródka.

Jednak sielanka nie trwała

Do dziś przechowuje na pamięć żółtą metrykę urodzenia, popstrzoną na odwrocie kolejnymi adnotacjami meldunkowymi. Ilu zawodów się wyuczył? A ile wykonywał bez przygotowania? Najpierw zahaczył się u piekara, zaś w szkole zasadniczej zdobył kwalifikacje cukiernika. Potem poszedł do szkoły podoficerskiej. W ciągu 8 lat służby oprócz stopnia sierżanta uzyskał uprawnienia kinooperatora, mechanika samochodowego, kierowcy. A wcześniej jeszcze w lesie trochę popracował. I w kopalni, na przodku, jako górnik...

Porzucił pracę w kopalni. Tak po prostu, ze strachu. W ciągu 8 miesięcy ziemia pochłonęła 12 ofiar. Ostatnie tapienie było bardzo silne, aż hotelem robotniczym zatrzęsło. Wtedy powiedział sobie: „Jeśli w zawale zginęły więcej niż trzy osoby, w żadnym razie już na dół nie zjadę”. Nazajutrz okazało się, że śmierć ponieśli czterej górnicy. Więc wspólnie z kolegą dotrzymali słowa. Kiedy ma się 18 lat, stosunkowo łatwo o takie reakcje.

— Gdybym wszystko opisał... — myślał nieraz w piekarni, dzwigając worki z mąką. Te same marzenia powracały do niego 860 metrów pod ziemią, kiedy wybierał węgiel urobiony na poprzedniej szychcie. Otuchę w złych chwilach czerpał z powieści Jacka Londona. Martin Eden, bohater, którego sobie upodobał, również tyrał ponad siły, tyle że w palni. I znosił różne upokorzenia. A przecież uczył się wytrwale, by uciec od harówki, zyskać pisarską sławę i być wreszcie „kimś”.

Ireneusz Leśniak pisarzem nie został, tyle że maturę zrobił, a potem dyplom z polonistyki na Uniwersytecie Gdańskim. Próbował pisać. I owszem. W 1979 roku opublikował nawet tomik aforyzmów. W prasie ukazało się parę humoresek. To wszystko. — Talentu zabrakło albo wytrwałości — mówi. Ot, pod wpływem lektury coś sobie ubrał, a co chwycił za pióro, by poważniejszą rzecz stworzyć — może dramat jakiś — jakby na przekór owym aspiracjom wychodziła spod ręki zabawna drobnostka. A to śmieszna powiastka o babci i dziadku. A to anegdota ze sfery cukierników. Może kiedyś pokusi się jeszcze o podobną próbę. Podobno każdego człowieka stać na jedną dobrą książkę.

Na razie Leśniaka zajmuje malarstwo. Ta pasja zrodziła się w stoczni, w której pracował 10 lat. I żebym tylko nie zapomniała wymienić

pani Wiesi Kwiatkowskiej — zaznacza. Bo właśnie pani Wiesia, opiekunka stocznikowych plastyków, zainspirowała go do poszukiwań w tym kierunku. W 1977 roku zaczął od grafiki, rysunków piórkiem, z czasem przerzucił się na farby.

Pierwsze sukcesy. Pierwsze wystawy. Pierwsze pieniądze za sprzedane obrazy. I tak toczy się ta nasza rozmowa w przytulnym, chociaż niebywale ciasnym mieszkaniu rodziny Leśniaków, której członkowie noszą imiona zaczynające się programowo na literę „I” — Ireneusz, Irena — żona, Iza — dorastająca córka, wreszcie Indira, pocziwa suczka wielorasowa, zwana także Indi lub Indula.

— Wie pani, ogólniak i studia to dzięki żonie — zwierza się głowa domu. — Irena mnie dopingowała.

— Jednego nie rozumiem, co polonista robił w kuźni jako kowal czy ślusarz — usiłuję odtworzyć brakujące ogniwo biografii mojego rozmówcy.

Niespodziewanie zalega milczenie, jakby kłopotliwa konsternacja. Twarz Ireneusza Leśniaka odbija wahanie, a może wewnętrzny opór.

— Skoro pani zapytała, byłbym nieuczciwy, gdybym nie powiedział wszystkiego. Otóż, zaangażowałem się trochę w „rewolucję” sierpniową. Zajmowałem dosyć wysokie stanowisko. Miałem duże szanse na dalszy awans, ale wtedy w 1980 roku przyglądałem się z bliska temu, co się działo, i po kilku dniach nabrałem pewności, że robotnicze postulaty są słuszne, więc publicznie je poparłem, jako pierwszy z kadry kierowniczej stoczni. Oddałem też legitymację partyjną. Dostało mi się z obu stron. Ale szkoda gadać, lepiej puszczać pani z tąmą to całe moje wystąpienie... moja decyzja i moja głupota.

Chwila poszukiwań i właściwa kasetka niktne w czeluści magnetofonu.

„Nazywam się Ireneusz Leśniak. Jestem zastępcą kierownika... Proszę o ciszę! Bo to jest bardzo istotne, co teraz powiem”.

Mikrofon wylała oklaski, głosy z sali, jakieś szmery, zapytania, wreszcie treść deklaracji, odczytanej dobitnie, przy pełnym aplauzie zgromadzonych: „Szanowni państwo, pozwólcie, iż dołączę do waszych szeregów, albowiem dłużej nie mogę i nie potrafię siedzieć z założonymi rękoma. Jako prawy i uczciwy obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, ja-

ko autentyczny stoczniowiec – wszak pełnił dotychczas funkcję zastępcy kierownika Biura do Spraw Osobowych i Analiz Społecznych Stoczni Gdańskiej im. Lenina – jako ojciec i mąż, jako członek Koła Młodych przy Gdańskim Oddziale Literatów Polskich, jako mieszkaniec ziemi uświęconej najszlachetniejszą krwią przodków naszych, z pełnym poczuciem odpowiedzialności umysłowej, prawnej i historycznej – solidaryzując się z wami!...”

Któż mógł wówczas przewidzieć, jak potoczą się sprawy, co czeka ludzi, uczestniczących w sierpniowym proteście. Sytuacja dyktowała słowa:

„Chcę nie uronić – mówił – ani krzyży z tego, co nasi kochani dziadkowie, ojcowie, bracia i siostry, matki i żony dotychczas zdobywali i zbudowali. Dlatego też błagam najpokorniej, w imieniu własnym i wszystkich uczciwych Polaków, was, towarzyszu Edwardzie Gierku, o przybycie tutaj do nas i jak najrychlejsze podjęcie rozmów (...). Buntujemy się nie przeciwko wam, partii czy ustrojowi, lecz przeciwko metodom i sposobom realizacji głoszonych przez was idei. Przeciwno..., przeciwko irytującym narząd postępowaniom, o których wy nie zawsze wiecie, nie zawsze wszystko wiecie, albowiem usłudzy lakiernicy skrzętnie te wszystkie mankamenty sprzed waszych oczu usuwali (...) Błagam, przybądźcie osobiście tutaj, a przekonacie się, że nie będziecie mieli do czynienia z bandą rozwydrzonych wyrostków, lecz z krwi i kości przedstawicielami klasy robotniczej...”

Dalszego ciągu mogłabym nie słuchać. W pamięci otwiera się zapomniana szuflada – 21 sierpnia 1980 roku – plenum Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej. Dopiero teraz kojarzę „mojego” malarza z tamtym Leśniakiem, którego akces został odrzucony.

Tasma przesuwają się i mam wrażenie, że Ireneusz Leśniak raz jeszcze stoi przed strajkowym gremium, najpierw klaszczącym jemu, potem zaś, z równą siłą, jego oskarżycielom. Wysłuchuje zarzutów Anny Walentynowicz, a pozostałe ataki przyjmuje hardo, z zaciśniętymi szczękami.

Przypadkowo dotknęłam nie zabliźnionych ran, spraw, o

których łatwiej milczeć niż mówić. Ale milczenie też może boleć, niekiedy bardziej niż zdania wyrwane z trzewi. Spotykamy się raz jeszcze, aby znaleźć niezbędny dystans do tamtych nasyconych emocjami zdarzeń. Ireneusz Leśniak podejmuje przerwany wątek.

– Otrzymałem polecenie, żeby tak a nie inaczej potraktować panią Anię. Ktoś to musiał zrobić. A że na mnie się w końcu skupiło... Jesteś przy korycie, więc masz pewne obowiązki. Przy każdym korycie. Miałem do wyboru: albo dostosować się do tych wymogów, albo spaść ze stanowiska. Anna Walentynowicz otwarcie prowadziła działalność polityczną...

„Mimo wszystko, wspominając atmosferę tamtych dni wciąż myślę, że to było piękne. Takiej wiary, takiego entuzjazmu już chyba nie przeżyję. A swojego kroku nie żałuję, w końcu sumie-

nie ważniejsze niż kariera. Widzi pani, jestem romantykiem, gdyby mnie nawet mieli wdeptać w ziemię, jeszcze raz zrobiłbym to samo, chociaż wiem, trzeba być albo cholernie głupim, albo cholernie odważnym, żeby decydować się na takie gesty. Co przeważało w moim przypadku? Nie potrafię odpowiedzieć. Może zmobilizował mnie apel młodych literatów. Nie orientowałem się, że występując z tak skrajnych pozycji.

„Wielu rzeczy nie wiedziałem. Zwracałem się wtedy do Gierki o jak najrychlejsze podjęcie rozmów. Jeśli dziś się czegoś wstydzę to chyba tylko tego, że wówczas tak bardzo Gierkowi wierzyłem, i że jego autorytet postawiłem na równi z autorytetem papieża. Ale to tylko świadczy o braku rozeznania politycznego, a także o tym, że niczego na chłodno nie kalkulowałem. Przecież nie mu-

siałem adresować mojego apelu tak konkretnie, mogłem ogólnie – do partii, i wszystko byłoby dobrze.

„Pyta pani, dlaczego po podpisaniu porozumień wróciłem do stoczni, bo bardziej ambitnie byłoby stamtąd odejść. Początkowo miałem nawet taki zamiar. Ale uświadomiłem sobie, iż dokądkolwiek bym poszedł, partyjni powiedzą – zdrajca, solidarnościowcy – prowokator. Wolałem przetrwać tu, bo ludzie, którzy mnie znali, wiedzieli, że jestem szczerzy, impulsywny, że kierowałem się czystymi intencjami. Ci nie brali na serio żadnych pomówień. Inni traktowali mnie z rezerwą, czasem trochę podejrzliwie. A w pracy zacząłem „awansować” w dół. Najpierw na zakładowego kierownika praktyk. Proszę, mam cały plik pochwał z wyższych uczelni, z techników. Niezależnie od tego, zdecydowano jednak, że

nadać się tylko na stano-wisko robotnicze. Wtedy podał mi rękę Tomek Kacperski i zaproponował przejście do kuźni, na ślusarza. Zachowałem na pamiątkę angaż z tego okresu; w jednej rubryce zapisane – wykształcenie wyższe, filolog, a w drugiej – ślusarz remontowy. Z czasem zostałem nawet samodzielnym technologiem. Nie kryję, ciężko było. Ale przy najmniej miałem tę satysfakcję, że nie uciekam, że jest we mnie tyle siły i woli, aby przetrwać. Myślałem sobie, odejdę wcześniej czy później, ale z honorem, kiedy zechcę.

„Legitymację partyjną złożyłem, nie rzuciłem. A to pewna różnica. Do partii nie mam żadnych pretensji. Właściwie jej idee nadal pozostały mi bliskie. Idee – uważam – są wspaniałe. Więc nie zgodzę się z opinią, że zmieniłem chorągiewkę. Cały czas jestem sobą. Mocno przeżyłem rok 1970. Tym bardziej, że jako zawodowy wojskowy znalazłem się wówczas w Gdyni po drugiej stronie barykady. No a potem rok 1980... To wystarczy.

Bardzo daleko odeszliśmy od malarstwa. Jakby zupełnie przestało się liczyć, odsunięte na drugi plan przez dziejowe burze. Wychowani na łacińskiej konstatacji o milczących muzach, skłonni jesteśmy do tego typu uogólniających wniosków. Tymczasem w przypadku Ireneusza Leśniaka rzecz miała się dokładnie odwrotnie.

Z kąta za szafą mój rozmówca wydobywa sporych rozmiarów obraz starannie zapakowany w szary papier. Rozwija. Opiera o przeciwległą ścianę. Na płótnie w chłodnej zimowej scenerii umieścił osobliwy pogrzeb – za trumną, wśród ośnieżonych drzew posuwa się para starszych, nikt więcej. Kiedyś widział taką sytuację, nawet chciał dołączyć do skromnego orszaku, ale nie było czasu. A potem, w roku 1980, najtrudniejszych życiowych chwilach, niespodziewanie powrócił do niego ten motyw i towarzyszący mu nastrój. Z tych reminiscencji zrodził się jeden jedyny obraz, zupełnie niepodobny do następnych, które powstały po nim. Przesycone kolorami, wesołe niczym ilustracje z dziecięcych bajek wykwitły jakby na przekór otaczającej rzeczywistości. Zresztą sam autor przyznaje, że głównym tematem jego malarstwa są właśnie najszcześniejsze momenty z dzieciństwa – cyrk, wieś, jaką zapamiętał, a jakiej dziś człowiek już nie

uświadczy. W księdze pamiątkowej Jerzy Trunkwalter, krytyk filmowy i sympatyk Leśniakowej twórczości, wpisał: „Świat na tych obrazach jest cudownie prosty, ułożony, poddany odwiecznemu ryt-mowi i rytuałowi. Takemu światu się wierzy, w takim świecie chce się żyć. I to jest właśnie najpiękniejsze – ten pogodny, a nawet radosny optymizm”.

– Jeden z kolegów malarzy – wspomina Ireneusz Leśniak – awanturę mi zrobił na wystawie, że jestem świnia, bo sielskie pejzażyki maluję, gdy on gore i od dwóch lat pędziła do ręki nie bierze. A mnie nie stać na kontestację.

Ucieczka od spraw publicznych? Poszukiwanie stylu? Potrzeba samorealizacji? Nowe ujęcie dla zablokowanych nagle aspiracji zawodowych? W owej erupcji malarzkiej pasji można odnaleźć wszystkiego po trochu. W 1983 roku, po ministerialnej weryfikacji zakończoną przyznaniem statusu plastyka profesjonalisty, Leśniak zrezygnował z pracy, tak jak zamierzał – „z honorem”. Miał za sobą swój wielki triumf. Telewizja nadała reportaż o jego osiągnięciach w sztuce, 8 minut w głównym wydaniu dziennika. Nazajutrz – relacjonuje – wartownicy na bramie mu się kłaniali.

Przez rok próbował utrzymać dom z malowania. Ale to ciężka sprawa dla kogoś, kto tak jak on, nie ma oparcia w kontaktach środowiskowych, nie ma dostępu do zleceń i chałtur. Po roku, aby mieć stały dochód i pewność, że od pierwszego do pierwszego będzie za co żyć, przyjął etat dyrektora Gminnego Ośrodka Kultury w Somoninie. Znowu ma na co dzień wieść, może nie taką jak kiedyś, lecz położoną w ciągle pięknej Szwajcarii Kaszubskiej. Natomiast w Stoczni Gdańskiej od czasu do czasu urządza wystawy. Pierwsza była jesienią 1984, druga teraz, po dwóch latach.

– Do stoczni mam sentyment – powiada. – Z pobytu tutaj coś pozostało – przeżycia przyjemne i tragiczne. Tu pracuje wielu moich przyjaciół, znajomych, praktycznie mogę załatwić każdą sprawę.

A. Krukurka i Pacek w księdze pamiątkowej wpisał: „Serdecznie Ci dziękujemy. Wystawą jesteśmy zachwyceni. Obrazy są bardzo dobre. Twoja praca nie idzie na marne. Idź w tym kierunku. Koledzy”.

Ryszarda Socha
Zdzisław Trybek

Socjologowie rzeczywiście dość często narzekają, że politycy nie chcą z rezultatów ich badań korzystać, ale – formułując być może niepopularny pogląd – wydaje mi się, iż często wynika to z faktu, że rodzaj wiedzy, którym socjologowie dysponują jest po prostu dla polityków nieprzydatny. Wśród socjologów istnieje bowiem mylne przekonanie, że najbardziej użyteczną dla polityka jest wiedza o faktach, wiedza diagnostyczna, opisująca stan społeczeństwa pod względem pewnych cech, poglądów itd. W istocie natomiast, z punktu widzenia decyzji politycznych, jest to wiedza mało użyteczna. (...) Trzeba przede wszystkim rozeznania teoretycznego, to znaczy pewnego całościowego modelu, wizji społeczeństwa, informacji o mechanizmach decydujących o jego funkcjonowaniu, a także prognozy na temat konsekwencji realizowania tej czy innej linii politycznej.

Wiara w to, że funkcja ekspertyzalna socjologii polega tylko na dostarczeniu raportów, które opisują w bardzo szczegółowych statystykach rozkład zjawisk patologii społecznej czy pewnych postaw bądź opinii jest z gruntu błędna. Politykowi potrzeba hipotez, wizji, całościowego modelu. Jeśli tego nie znajdzie u socjologów, korzysta wtedy z własnego doświadczenia, wiedzy potocznej, instynktu politycznego, które w przypadku wybitnych przywódców mogą nawet okazać się znacznie bardziej trafne niż najlepsza ekspertyza socjologiczna. W przeciętnym jednak zarządzaniu społeczeństwem na wszystkich szczeblach bardzo często prowadzi to do zasadniczych pomyłek i błędów. I jest to niewątpliwie poważna słabość polskiej socjologii. (...)

Prof. Piotr Sztompka
w wywiadzie dla KULTURY

Jak wiemy, w systemie reformy przedsiębiorstwa i zakłady – które mają być samodzielne finansowo – obłożone są różnymi podatkami i odpisami na rzecz skarbu, często do tego stopnia, że wszelka myśl o zysku staje się w rezultacie nieopłacalna. Otóż podobne sytuacje zdarzają się także na świecie, gdzie bogatym prywatnym firmom przestaje się opłacać zarabianie, ponieważ podatki grożą pochłonięciem całego zysku, często nawet z nawiązką. Ale wówczas, w RFN na przykład, z pomocą przychodzi im właśnie kultura. Sumy wydane przez firmę na rozmaitego rodzaju fundacje kulturalne – a więc stracone z punktu widzenia czystego zysku – odpisywane są od podatku, przez co sam podatek staje się strawniejszy. Istnieje mnóstwo filmów, festiwali, galerii sztuki, które żyją i egzystują właśnie na skutek tego systemu finansowego. Finansowanie kultury opłaca się przedsiębiorstwom, a kultura zyskuje środki do życia. Doprawdy nie widzę powodu, aby ten system nie mógł, po odpowiednich modyfikacjach, funkcjonować i u nas.

Krzysztof Teodor Toeplitz
POLITYKA

